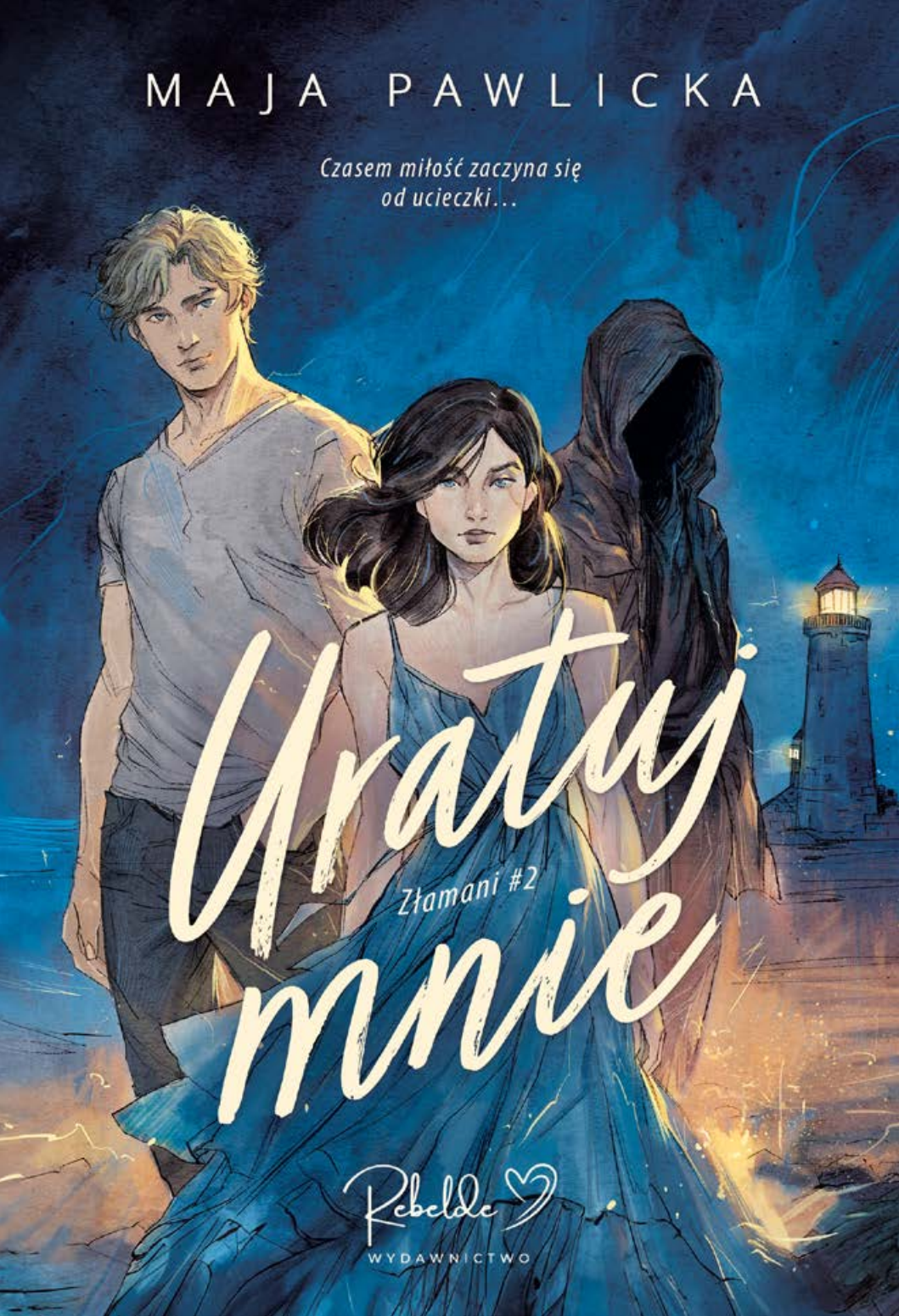


MAJA PAWLICKA

*Czasem miłość zaczyna się
od ucieczki...*



Uratuj mnie

Złamani #2

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Maja Pawlicka
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Ewa Woźniak

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak

Druga korekta po składzie:
Ewa Woźniak, Kamila Polańska

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Grafika na okładce:
Natalia Reszka @prostanataliareszka

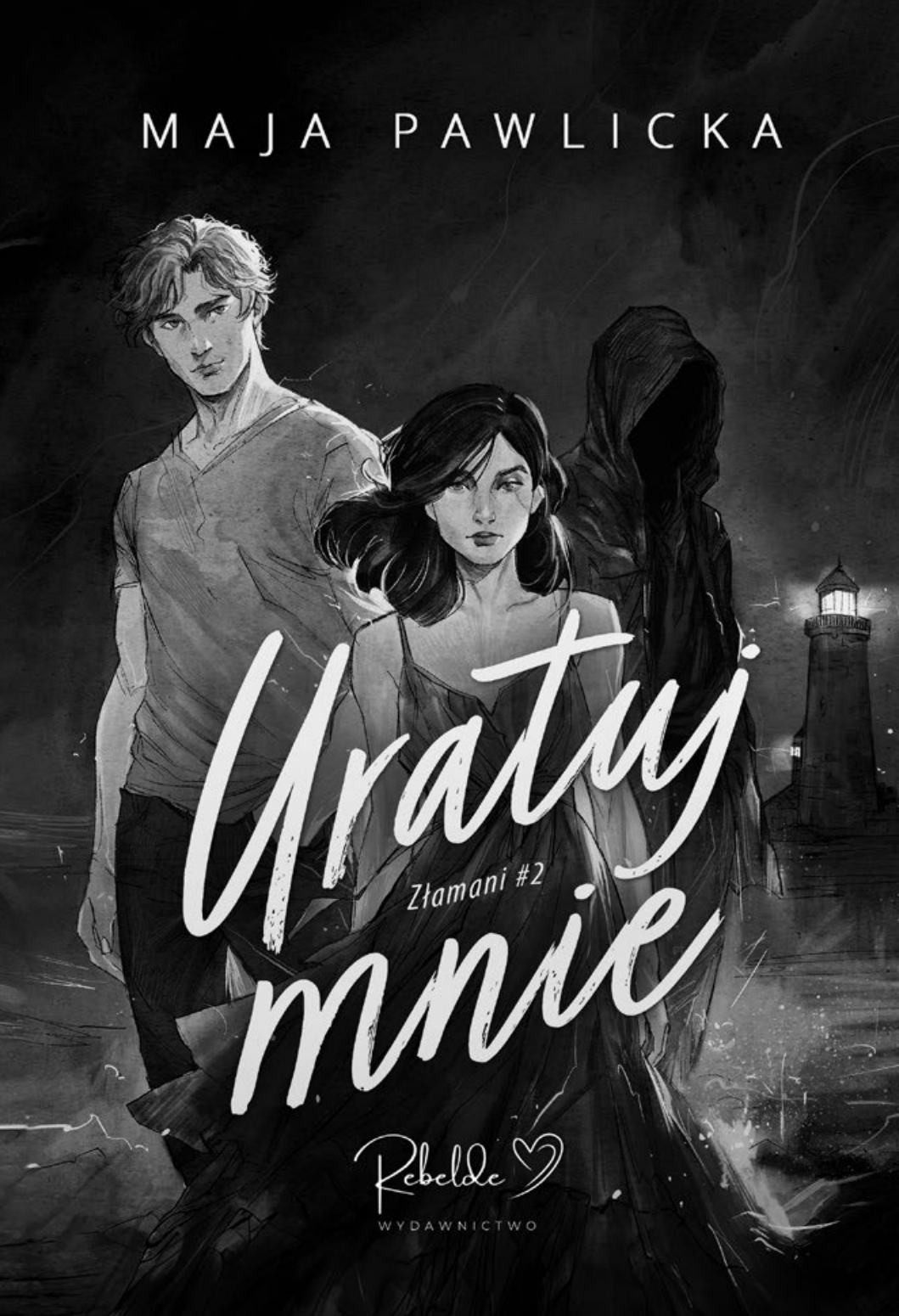
Skład i przygotowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-60-9

Rebelde 
WYDAWNICTWO

MAJA PAWLICKA



Uratuj mnie

Złamani #2

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO



*Dla tych, którzy odważyli się poprosić o pomoc.
I dla tych, którzy stali się czyimś ratunkiem...*



Ostrzeżenie autorskie

Niniejsza książka porusza temat, który może budzić skrajne emocje. Znajdują się w niej również wątki: wykorzystywania seksualnego, samookaleczania oraz krzywdy rodzinnej. W historii pojawiają się sceny erotyczne.

Przeznaczona jest dla dorosłych i dojrzałych czytelników.

Przedstawione wydarzenia i postaci są fikcją literacką. Autorka nie utożsamia się ze wszystkimi poglądami czy zachowaniami bohaterów ani nie popiera działań, które mogą wzbudzać wątpliwości.

GDZIE SZUKAĆ POMOCY

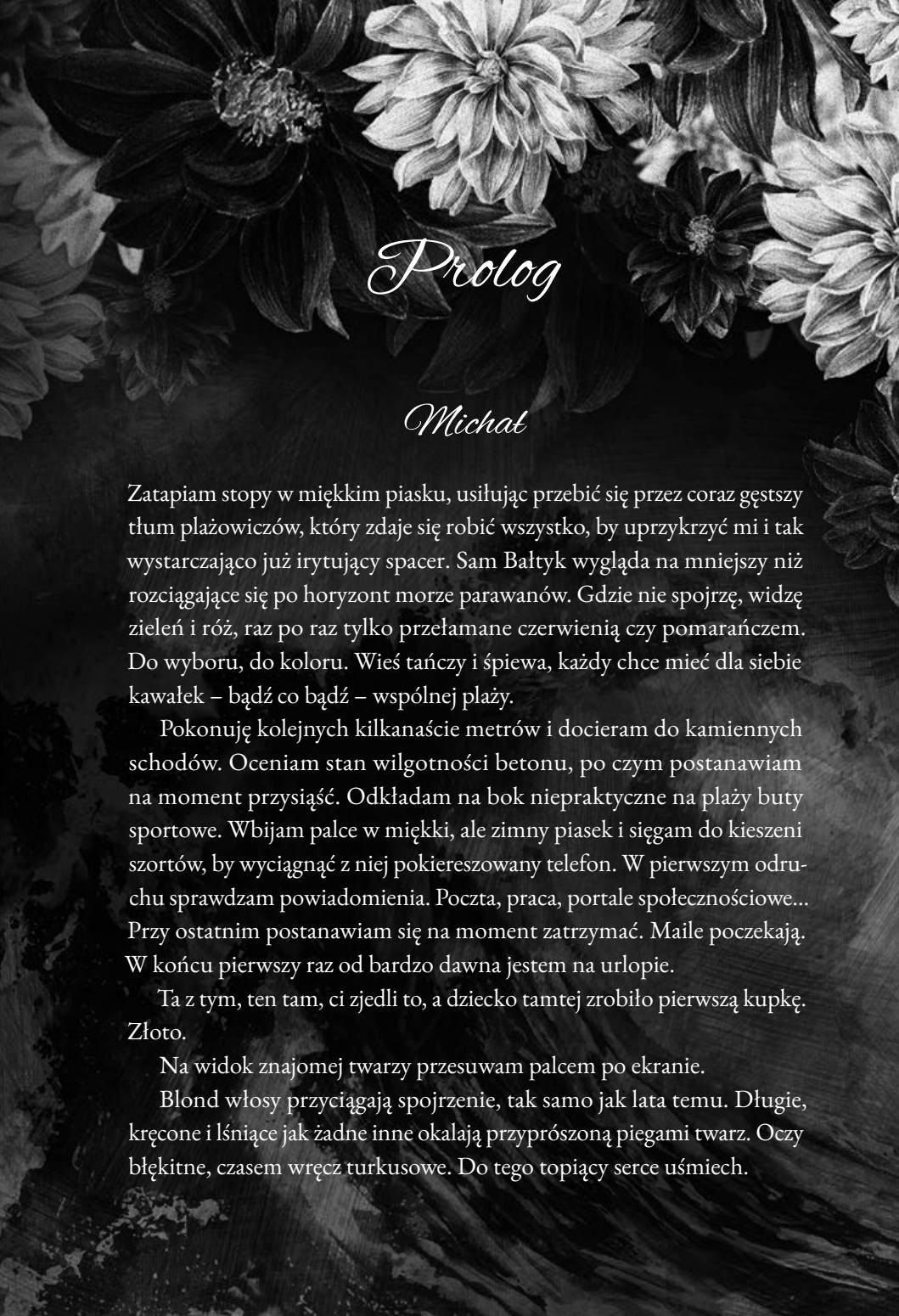
Jeśli czytasz te słowa, pamiętaj: nie musisz być sam(-a) z krzywdą. Zaslugujesz na wsparcie, bezpieczeństwo i godność – nawet jeśli boisz się lub nie wierzysz, że ktoś Ci pomoże. Odważ się zadzwonić pod jeden z podanych numerów – rozmowa to pierwszy krok, który może zmienić Twoje życie.

Każda prośba o pomoc jest ważna. Czasem wydaje się, że nic się nie zmieni – ale często to właśnie od tej rozmowy zaczyna się droga do realnej pomocy, ochrony, a czasem nowego początku.

TELEFONY ALARMOWE I LINIE WSPARCIA

Jeśli grozi Ci niebezpieczeństwo – zadzwoń:

- ▶ 112 – numer alarmowy (służby ratunkowe)
- ▶ 800 12 00 02 – Niebieska Linia (Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie, czynne 24/7)
- ▶ 600 07 07 17 – Centrum Praw Kobiet (ogólnopolski telefon interwencyjny dla kobiet doświadczających przemocy, dostępny 24/7)
- ▶ 222 309 900 – Linia Pomocy Pokrzywdzonym (pomoc dla ofiar przestępstw: przemocy domowej, przemocy seksualnej, innych; dostępna 24/7)
- ▶ 720 720 020 – SEXEDPL Antyprzemocowa Linia Pomocy (anonimowy telefon pomocy dla dorosłych i młodzieży: przemoc w związku, przemoc seksualna, przemoc psychiczna; dostępny codziennie w godz. 12:00–20:00)
- ▶ 116 123 – telefon zaufania dla dorosłych w kryzysie emocjonalnym.



Prolog

Michał

Zatapiam stopy w miękkim piasku, usiłując przebić się przez coraz gęstszy tłum plażowiczów, który zdaje się robić wszystko, by uprzykrzyć mi i tak wystarczająco już irytujący spacer. Sam Bałtyk wygląda na mniejszy niż rozciągające się po horyzont morze parawanów. Gdzie nie spojrzę, widzę zieleń i róż, raz po raz tylko przełamane czerwienią czy pomarańczem. Do wyboru, do koloru. Wieś tańczy i śpiewa, każdy chce mieć dla siebie kawałek – bądź co bądź – wspólnej plaży.

Pokonuję kolejnych kilkanaście metrów i docieram do kamiennych schodów. Oceniam stan wilgotności betonu, po czym postanawiam na moment przysiąść. Odkładam na bok niepraktyczne na plaży buty sportowe. Wbijam palce w miękkie, ale zimny piasek i sięgam do kieszeni szortów, by wyciągnąć z niej pokiereszowany telefon. W pierwszym odruchu sprawdzam powiadomienia. Poczta, praca, portale społecznościowe... Przy ostatnim postanawiam się na moment zatrzymać. Maile poczekają. W końcu pierwszy raz od bardzo dawna jestem na urlopie.

Ta z tym, ten tam, ci zjedli to, a dziecko tamtej zrobiło pierwszą kupkę. Złoto.

Na widok znajomej twarzy przesuwam palcem po ekranie.

Blond włosy przyciągają spojrzenie, tak samo jak lata temu. Długie, kręcone i lśniące jak żadne inne okalają przyprószoną piegami twarz. Oczy błękitne, czasem wręcz turkusowe. Do tego topiący serce uśmiech.

Sylvia.

Staram się powstrzymać zalewającą mózg falę nie do końca szczęśliwych wspomnień. Zaraz potem zerkam ponownie na ekran.

Przeglądając się fotografii, dochodzę do wniosku, że pomimo upływu lat wygląda tak samo dobrze, a może i lepiej.

A obok niej stoi... ktoś.

Sunę spojrzeniem po widniejącym pod zdjęciem opisie.

Sylvia i Marcel biorą ślub.

Nie powinienem się przejmować. Nic a nic. W końcu to ja zostawiłem ją po tym, gdy postanowiła pójść w tany z moim ówczesnym najlepszym przyjacielem. Niech układa sobie życie. Ja swoje cudem pozbierałem do kupy. Teraz jest nawet nieźle. Mam fajną pracę, dobrze zarabiam i robię to, co lubię. Planuję kupić dom. A i z Karoliną chyba w końcu wszystko zmierza w dobrym kierunku. Może nawet kiedyś wyjedzie ze mną do Berlina.

W takim razie nie rozumiem tego uczucia zawodu.

Mam wszystko.

Naprawdę.

Anastazja

Wpadam do mieszkania i przechodzę przez ciasny korytarz, by wejść do kuchni. Przystaję przy zbyt dużym jak dla jednej osoby stole. Wbijam gromiące spojrzenie w ścisną w dłoni rozerwaną kopertę. Wzdycham, zrozpaczona, i ciskam kawałek zmiętego papieru na bordowy blat.

Kłapię tyłkiem na chybotliwe krzesło z myślą, że w poprzednim życiu musiałam coś srogo spieprzyć. Inaczej nie da się wytłumaczyć zamiłowania losu do dowalania mi na każdej możliwej płaszczyźnie. Brutalna karma mogłaby się zlitować i uraczyć mnie krótkim urlopem. W końcu jak długo można przeszkakiwać nad rzucanymi pod nogi gigantycznymi kłodami? Nic by się nie stało, gdyby los choć raz cisnął we mnie gałęzią, nie całym pniem.

Zaciskam powieki i sięgam po będący kolejnym gwoździem do życiowej trumny list. Wciągam do płuc haust wcale nie tak świeżego powietrza z nadzieją, że czynność ta pomoże w okiełznaniu emocji i powstrzyma usiłujące opuścić oczy łzy. Niestety, by przeczytać cholerne upomnienie, muszę na nie spojrzeć.

Wznoszę spojrzenie ku poślódkom sufitowi, po czym kieruję je w dół.

Było siedzieć w zimnie – karczę się w myślach za przesadną rozrzutność. *I po ciemku.*

Raz jeszcze zerkam na zapisaną kartkę.

– Kurde, no nie ma szans, żebym zdobyła tę kasę w tak krótkim czasie – mamroczę pod nosem, widząc bijącą po oczach kwotę.

„Trzy tysiące dwieście trzynaście złotych” poprzedzone podnoszącym na duchu zwrotem „Wezwanie do zapłaty”.

Wstaję z maltretującego pośladki krzesła i podchodzę do ustawionej pod oknem komody. Otwieram skrzeczącą nieznosnie szufladę, by przejrzeć jej zawartość. Po odgarnięciu walających się dupereli chwytam granatową kopertę. Przeliczam schowane w niej pieniądze.

Tysiąc trzysta dwadzieścia.

– Rewelacja – komentuję stan swojego majątku. Zaraz potem wracam do stołu.

Rozpaczynam rozmyślania nad planem doskonałym, który sprawi, że liczba trzymanyh przeze mnie banknotów nagle magicznie się potroi. Po chwili postanawiam wpłacić wszystko na podane w liście konto bankowe z myślą... że nie będę jeść nic.

Musi mi to wystarczyć do końca miesiąca. Jako że mamy dopiero połowę lipca, kolejnych kilkanaście dni przyjdzie mi wegetować.

Dobra.

Nie czas na płacz. Pobeczę wieczorem. Teraz trzeba się zastanowić.

Jestem w Zakopanem, miejscu turystycznym. Przewijają się tu z milion osób rocznie. A wszyscy oni muszą gdzieś spać.

Tylko jak to załatwić?

Stukam długopisem w leciwe, lakierowane, mocno już przetarte drewno.

Wszystko w tym mieszkaniu jest stare i obdrapane.

Kto zechce się tu zatrzymać?

Kieruję wzrok na okno i w myślach pytam spoglądającego na mnie z szyby odbicia: *I jeszcze za to zapłacić?*

Michał

Patrzę w lustro i wycieram ręcznikiem mokre, prawie białe włosy. Przeczesałem je palcami, roztrzepując przy tym odrobinę. Wykrzywiam twarz w kwaśnym grymasie, gdy widzę, jak smutne zdają się moje oczy. Zwykle dostrzegałem w nich iskrę. Wesołość, która teraz jakoś przygasła. Gdyby przyjrzeć im się uważniej, nie wydają się nawet zielone. Intensywny odcień tęczyówek zastąpiła wypłowiła szarość. Poklepuję dłońmi spalone słońcem policzki, po czym myję zęby.

Po kilku minutach ruszam do pokoju, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Koszulki, spodnie, szorty i oczywiście bokserki. W razie potrzeby resztę dokupię.

Pakuję wszystko do czarnej torby, kieruję się do wyjścia, zgarniając po drodze klucze, portfel i telefon. Zamykam drzwi od pokoju.

– Powodzenia. – Słyszę za plecami głos Zuzy. Odwracam się, kiwam koleżance głową, aż w końcu zbiegam po drewnianych schodach.

Siadając za kierownicą granatowego Nissana, spoglądam na wielki szyld z napisem „Ostoja”.

– To jedziemy – bąkam pod nosem, zanim odpalę silnik.

Pojęcia nie mam, czy dobrze robię, słuchając rady Adama. W końcu to przez niego nie jestem z Sylwią. Ale muszę się przekonać. Dowiedzieć, czy to uczucie pustki i samotności to reakcja na jej przyszły ślub, czy może po prostu czegoś mi brakuje.

Bo może wcale nie mam wszystkiego.

Przejeżdżam przez otwartą na oścież bramę i ruszam w dziesięciogodzinną trasę do Zakopanego.

Anastazja

W sumie nieważny jest ten śmieszny karton z napisem będącym dowodem mej desperacji. Istotne będzie to, jak się zaprezentuję. Nie powinnam wyglądać wyzywająco, żeby nie przyciągnąć pod dach jakiegoś psychopaty. Najlepiej też, gdybym nie wyglądała jak *ja*. W razie gdyby miał pojawić się *on*.

Podchodzę do szafy i rzucam okiem na ziejące biedą półki. Wybieram pierwsze z brzegu legginsy, szarą bluzę i takie same tenisówki.

Nie jest źle – myślę, związując włosy w kitkę.

Poprawiam opadające na twarz czarne pasma i sięgam po leżącą na łóżku tekturę, która – ozdobiona napisem „pokój do wynajęcia” – stanowi namacalny dowód tego, jak bardzo jestem niezaradna.

Wychodzę, najpierw z mieszkania, zaraz potem z kamienicy. Nim zapuszczę się w głąb zaniedbanego podwórza, omiatam nerwowym wzrokiem okolice. Podchodzę do wnęki na śmieci, wyglądam za róg.

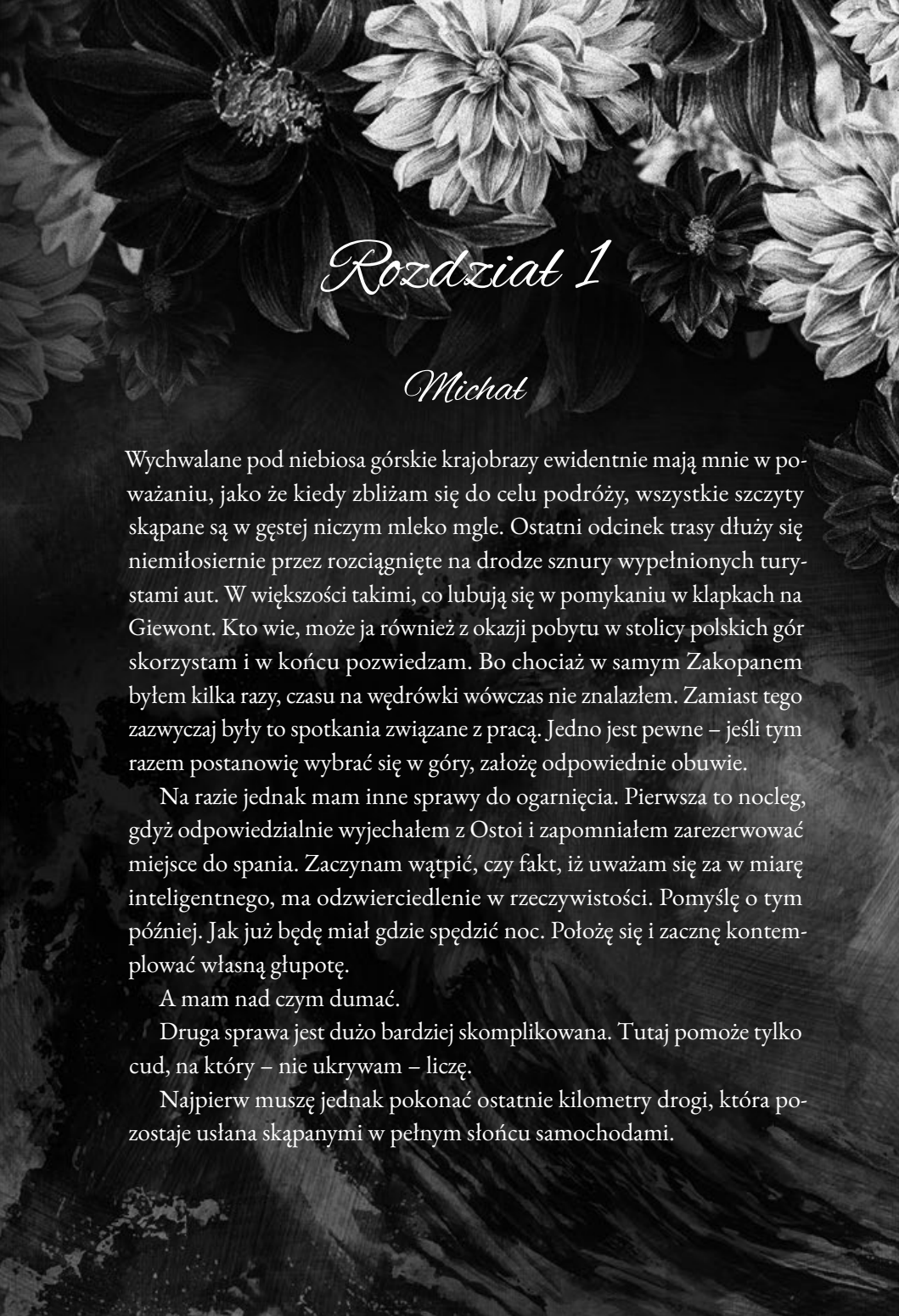
Po dokładnym obadaniu terenu wyściubiam nos za bramę, po czym od razu ruszam w kierunku dworca.

Przebijam się przez tłum i niemal wymiotuję na myśl, że każda mijana osoba może być *nim*. Pogoda nie zachęca, a liczba nałożonych na głowy kapturów poraża. Zakryte twarze zdają się wbijać we mnie spojrzenia ledwie widocznych oczu. Gdy zacisnę powieki, z oddechu spowitego strachem umysłu wylania się wykrzywiona w złośliwym uśmiechu twarz.

Przyspieszam kroku. Będąc w połowie drogi, już nie truchtam, lecz biegnę ile sił w nogach.

Wkraczam na peron, zamykam oczy i wrzucam na twarz najsztuczniejszy uśmiech, jaki dane było oglądać wysiadającym z pociągu przyjeźdnym. Rozpuszczam włosy.

To nie pierwsze twoje upokorzenie, Anastazjo. Zagryź zęby i przełknij to. Kolejny raz.



Rozdział 1

Michał

Wychwalane pod niebiosą górskie krajobrazy ewidentnie mają mnie w poważaniu, jako że kiedy zbliżam się do celu podróży, wszystkie szczyty skąpane są w gęstej niczym mleko mgie. Ostatni odcinek trasy dłuży się niemiłosiernie przez rozciągnięte na drodze sznury wypełnionych turystami aut. W większości takimi, co lubują się w pomykaniu w klapkach na Giewont. Kto wie, może ja również z okazji pobytu w stolicy polskich gór skorzystam i w końcu powiem. Bo chociaż w samym Zakopanem byłem kilka razy, czasu na wędrowki wówczas nie znalazłem. Zamiast tego zazwyczaj były to spotkania związane z pracą. Jedno jest pewne – jeśli tym razem postanowię wybrać się w góry, założę odpowiednie obuwie.

Na razie jednak mam inne sprawy do ogarnięcia. Pierwsza to nocleg, gdyż odpowiedzialnie wyjechałem z Ostoi i zapomniałem zarezerwować miejsce do spania. Zaczynam wątpić, czy fakt, iż uważam się za w miarę inteligentnego, ma odzwierciedlenie w rzeczywistości. Pomyślę o tym później. Jak już będę miał gdzie spędzić noc. Położę się i zacznę kontemplować własną głupotę.

A mam nad czym dumać.

Druga sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Tutaj pomoże tylko cud, na który – nie ukrywam – liczę.

Najpierw muszę jednak pokonać ostatnie kilometry drogi, która zostaje usłana skąpanymi w pełnym słońcu samochodami.

Na ogół lubię spędzać czas w trasie. Przerywana szumem silnika cisza pomaga zresetować zmęczony ciągłą pracą umysł. Nie ma nawet znaczenia, jakim autem akurat podróżuję. Ważne, abym był wówczas sam. Tym razem jednak nie jadę, a stoję w gigantycznym korku. Frajda z tego żadna.

Nudzi mi się.

Dlatego kiedy w końcu – po dziesięciu godzinach drogi przeplatanej wieloma spędzonymi w bezruchu kwadransami – wjeżdżam do wsi, która bardzo chce być miastem, odczuwam wyraźną ulgę. Tak wielką, że aż wzdycham przeciągle, po czym rozciągam usta w zmieszanym z ziewnięciem uśmiechu.

Omiatam wzrokiem mijaną okolicę przekonany, że prezentowałyby się ona dużo bardziej malowniczo, gdyby nie stado witających mnie na wiejdzie bilbordów. Już wiem, gdzie kupić tapetę, zlew czy też kto czyści mi szambo.

Wszystko jesteśmy w stanie oszpecić. Nawet Tatry.

Pierwsze miejsce, do którego postanawiam się skierować, to dworzec PKP. Pamiętam jeszcze z czasów liceum, że to tutaj można było dorwać nocleg od najbardziej zdesperowanych osób. Nie potrzeba mi wiele. Wystarczy materac do spania i toaleta. Jeść mogę na mieście. Jest też możliwość, że jeśli z moich planów nic nie wyjdzie, to apetyt nie będzie mi dopisywał.

Parkuję auto między dwoma autobusami z nadzieją, że zapewnią one choć odrobinę cienia i tak rozgrzanej już karoserii. Dzięki temu po załatwieniu miejsca do spania wrócę do samochodu, a nie do piekarnika. Zanim wysiądę, sięgam po butelkę, by upić łyk wygazowanej wody. Zgarniam portfel i telefon, po czym wysiadam z Nissana. Masuję zastygłe barki. Nieprzyjemnie wilgotną dłoń przykładam do zeszytniałego karku. Przecieram oczy i rozwieram usta w odganającym resztki znużenia ziewnięciu. Mniej śpiący, ruszam w stronę wejścia do budynku dworca. Stamtąd udaję się prosto na peron.

Rozglądam się po straszącej szarością i dawną świetnością okolicy z myślą, że mogliby się bardziej postarać, jeśli chodzi o wygląd bądź co

bądź wizytówki tego miejsca. Przewijają się tu rocznie tabuny turystów, a dworzec wygląda jak żywcem wyjęty z peerelowskiego serialu.

Z pociągów wychodzą właśnie kolejni miłośnicy górskich wędrówek, a ja postanawiam wmieszać się w tłum i poszukać osoby, która nie będzie przyprowadzała o ciarki od pierwszego wejrzenia.

Moja uwaga kieruje się ku popychanej przez przyjezdnych dziewczynie. Nie wiem, ile może mieć lat. Wydaje się młodsza ode mnie. Opaloną twarz przeciera dłonią, którą zaraz przykładą do czoła. Nieustannie poprawia sięgające ramion włosy, zakładając lśniące pasma za ucho. Oczy mruży, a usta wygina w czymś, co powinno przypominać uśmiech. Z naciskiem na „powinno”. Gdyby przyjrzeć jej się uważniej, widać wymalowane na sympatycznej buzi zmieszanie.

Dłuższą chwilę, z rosnącym poczuciem nagłej troski, lustruję drobną postać. Nie da się ukryć, że jest sama, wyraźnie zagubiona w miejscu, w którym zapewne być nie chce. Może trafić na jakiegoś czuba, który zapragnie czegoś więcej niż tylko pokoju.

Dobra, co tam, idę. Uratuję ją przed tym prawdopodobnym psycholem – myślę, po czym ruszam z miejsca. Pokonuję dzielące nas metry i przystaję obok nieznanomej.

– Ile za ten nocleg?! – pytam, a właściwie krzyczę, sprawiając, że dziewczyna podskakuje wystraszona i wpada na przechodzącą między nami kobietę. Uderza ją przy okazji trzymaną w dłoni teksturą.

– Patrz, jak stoisz! – woła zdecydowanie zbyt głośno turystka. O tonie, jakiego używa, nie wspomnę.

– To pani powinna uważać. Nie jest trudno wyminąć osobę, która się nie rusza, ale taką, która biegnie, owszem. – Nie otrzymuję w zamian nic ponad prychnięcie turystki i spojrzenie wielkich jak talarze oczu mojej przyszłej gospodyni.

O ile oczywiście zechce nią być.

– Pfff. Nie mam czasu – odpiera blondynka, odwraca się na pięcie i rusza z impetem w niewiadomym kierunku.

– Słucham? – pyta nieznajoma, kiedy w końcu zostajemy sami. Nie licząc tysiąca otaczających nas osób. – Znaczy... nie musiał pan – stwierdza, a gdyby nie to, że udaje mi się odczytać słowa z ruchu pełnych warg, zapewne nie miałbym pojęcia, o czym mówi. – Mogę jakoś pomóc?

– Tak. Pytałem, w jakiej cenie jest ten nocleg – mówię, wskazując głową brązową tekturę.

– Sześćdziesiąt pięć za dobę.

Z pewnością nie jest nieśmiała, skoro stoi tutaj z tą nieco już zamokniętą prowizoryczną reklamą. A jednak wyraz twarzy ma raczej niepewny.

Co nie powinno mnie dziwić, jako że zamiast się odezwać, stoję jak ten słup i wbijam w nią natarczywe spojrzenie.

– Ale mogę opuścić. – Uśmiecha się półgębkiem. – Do sześćdziesięciu.

– A gdzie? – pytam i przysuwam się trochę, bo od tych krzyków za moment stracę głos, a będzie mi jeszcze potrzebny. – I nie ma potrzeby. Cena jest okej – dodaję nieco bez sensu. W końcu pojęcia nie mam, jak wygląda proponowany przez nią pokój.

Biorę głęboki wdech, po którym czuję aromat mięty wypełniający nos. To miła odmiana po kilkugodzinnym wężaniu odświeżacza powietrza o zapachu sztucznego lasu.

– Przy Krupówkach. O tam. – Wskazuje palcem, jednak nic mi to nie mówi. – Za tym wielkim szarym pensjonatem.

Kiwam głową, chociaż nadal pojęcia nie mam, o której popielatej karmienicy opowiada. Gdy sunę wzrokiem we wskazanym kierunku, widzę ich pięć, a różnią się tylko kolorem wystawionych na balkony kwiatów.

– Z łazienką? – dopytuję, pochylam się i przysuwam ucho do jej twarzy. Chyba zbyt blisko lub szybko, bo znów cofa się jak oparzona.

– Tak – mamrocze pod nosem, uśmiechając się przy tym przepaszająco. W odpowiedzi przytakuję i podobnie jak ona unoszę lekko kąciki ust.

– Dobra, biorę.

Tym razem raczy mnie szerokim uśmiechem. Takim z rodzaju rozjaśniających twarz.

– Za mną – zarządza, odwraca się i rusza przed siebie.

Mknie przodem, jakimś cudem odnajdując drogę do wyjścia z tego napierającego wręcz tłumu. Mądrzej byłoby iść obok niej i w ten sposób przedzierać się przez morze turystów.

Wychodzimy w końcu z dworca. Po zaczerpnięciu świeżego powietrza dostrzegam stojący kilka metrów od nas kiosk z przyklejoną do szyby fotografią zapiekanki. Od razu dopada mnie głód, gdy czuję zapach smażonych pieczarek.

– Anastazja albo, jeśli wolisz, Ana. – Odwracam się na dźwięk łagodnego głosu. – Tak mam na imię.

Poprawia opadające na twarz i targane gorącym wiatrem włosy. Cały czas unika mojego wzroku. Dopiero gdy nieznacznie się pochylam, postanawia skrzyżować nasze spojrzenia. Jej jest tak zielone, że aż zdaje się nienaturalne.

– A ty? – pyta, wyciągając rękę w powitalnym geście.

– Michał. – Również podaję jej dłoń, zaskoczony tym, że nieprzerwanie się uśmiecha. – Możesz dać mi adres. Jeszcze bym tu coś zjadł. – Wskazuję głową metalową budę. – Potem przyjdę.

Anastazja patrzy to na mały budynek, to na mnie, po czym odpowiada:

– Mam obiad. Tutaj nie radzę. Kiedyś było spoko, ale... – Rozkłada ręce w geście rezygnacji.

Raz jeszcze rzucam okiem na papierowy wizerunek zapiekanki. Zaraz potem patrzę już na towarzyszkę.

– Dobra. Prowadź – mówię i znów ruszam tuż za nią.

Mogę jej się teraz przyjrzeć na spokojnie. Czarne, sięgające ramion włosy odbijają padające na nie światło. Mimowolnie patrzę w dół i od razu dochodzę do wniosku, że musi uprawiać jakiś sport. Tylko osoba ćwicząca może pochwalić się takimi pośladkami. I to w legginsach.

No... jest ładna. Nawet bardzo.

Co nie powinno mnie interesować.

– Jeszcze kawałek. – Z potoku myśli wyrrywają mnie słowa Anastazji. – Kilka metrów.

Rzeczywiście po chwili zatrzymuje się pod wysoką na trzy piętra kamienicą w kolorze zmieszanej z różem szarości. Takie trochę kocie wymiociny.

Tynk tu i ówdzie już odpadł i ukazał wszystkie warstwy położonej wcześniej farby.

Nie znam mojej nowej gospodyni, a i tak wiem, że to miejsce do niej nie pasuje. *Anastazja zdaje się delikatna, a to...* Patrzę w górę na zaparowane, otoczone obdartymi, drewnianymi ramami okna. *A to nie za bardzo.* Mam nadzieję, że tu nie mieszka.

– To tu. Trzecie piętro.

Na klatce schodowej temperatura jest niższa o co najmniej kilka stopni. Zapach wilgoci przyćmiewa nawet tę uroczą woń mięty, która unosi się wokół Anastazji.

Przychodzi mi na myśl, że w takim budynku pewnie wynająłem jakąś mikrokawalerkę. W tej cenie to istna okazja. Zniosę nawet żywcem wyściętą z horroru klatkę schodową. Strach dotknąć poręczy. Nie wiadomo, w co wsadzę dłoń.

Wchodzimy powoli. Schody są nad wyraz strome. Po pijaku? Powodzenia.

– To tu.

Anastazja wchodzi pierwsza. Chwilę krząta się po pomieszczeniu, po czym wynurza głowę zza drzwi i zapraszającym gestem dłoni woła mnie do środka.

– Proszę. – Jej pewność siebie odrobinę zmaląa. – To twój pokój. – Wskazuje na drzwi po lewej. – A to mój. – Pokazuje na prawo.

Unoszę brwi zaskoczony.

– Ty też tu mieszkasz? – pytam, choć zdaje się to oczywiste.

Wbija oczy w buty. Jest zabawnie niska. Widzę czubek jej głowy.

– No tak. Przepraszam, że nie powiedziałam, ale pewnie byś się nie zgodził, a ja... – Łapie powietrze, gdyż od szybkości, z jaką to mówi, dopada ją zadyszka. – Potrzebuję kasy, a ty nie wyglądasz jak psychol.

Po pierwsze, dobrze, że aparycją nie przypominam seryjnego mordercy, ale ktoś powinien jej powiedzieć, że tacy na ogół nie ociekają krwią na środku drogi. Po drugie, wszystko mi jedno. Będę miał gdzie spać, a zostać tutaj mogę najwyżej miesiąc. Potem muszę wracać do moich lasów.

– Dobra, zostanę – mówię, a na policzkach Anastazji wykwitają dwa soczyste rumieńce. – Tylko nie jestem w stanie powiedzieć, na jak długo. Najwyżej miesiąc. Może być też tylko tydzień. Wszystko zależy, jak się sprawy potoczą.

– Super. – Zaczyna truchtać leciutko i klaskać. Jeśli zawsze z radości tak robi, to już wiem, skąd te kształtne pośladki. – Odgrzeję nam obiad. Idź może po bagaże. Michale, tak?

– Tak, Anastazjo.

Znów patrzy na mnie jakoś dziwnie, jeszcze bardziej zarumieniona. Może myśli, że ją podrywam? Mam nadzieję, że nie. Pewnie mi się wydaje. Nie jestem w końcu tak przepiękny jak jebany Adam Dobrowolski, który doradził mi ten przyjazd. Do teraz nie wiem, dlaczego go posłuchałem.

Dobra, wiem. Jestem już zdesperowany.

Wychodzę i ruszam ku grożącym połamaniem karku schodom. Kto to w ogóle projektował?

Kurde, zapomniałem zapytać o parking. Postanawiam zrobić to później, kiedy już wrócę z bagażem.

Anastazja

Podchodzę do zaparowanej od wilgoci szyby. Unoszę lekko roletę i spoglądam na zasłonięte kłębami granatowych chmur niebo. Wpatrzona w ponury krajobraz, zaczynam się zastanawiać, co mną kierowało, kiedy postanowiłam przyjąć pod dach obcego mężczyznę. Zdecydowanie rozsądniejszym wyborem byłaby w mojej sytuacji kobieta. Tylko że ona, nieważne jak silna i waleczna, nie obroniłaby mnie przed *nim*. I chociaż mój przyszły współlokator nie ma obowiązku robić dla mnie czegokolwiek, już na dworcu pokazał, że nie pozostaje bierny w sytuacjach, w których inni przyszykują oczy. Potrzebuję urlopu od oglądania się za siebie. Robię to nieustannie od nieco ponad trzech lat. Śpiący za ścianą Michał sprawi, że i ja będę w stanie zmrużyć powieki na dłużej niż godzinę.

A czy to racjonalne? Oczywiście, że nie. Tylko że całe moje życie już od dawna takie nie jest.

Zapowiada się konkretna burza. Oby okna nie przeciekły, bo moja ostatnia deska ratunku zrezygnuje z pokoju, zanim jeszcze się w nim na dobre rozgości. Piękne, malownicze jezioro pośrodku wątpliwej jakości apartamentu nie zachęca do noclegu.

Wydaje się przyjazny i niegroźny. Wrażenie to potęgują niemal białe włosy i wesołe zielone oczy. To dobrze. Nie było łatwo stać dziś z tym durnym kartonem. Cały czas czułam wbite w plecy – zapewne urojone – oceniające spojrzenia. Nie miałam jednak wyjścia. Czynn timer za mieszkanie wzrósł tak bardzo, że nie poradzę sobie bez dodatkowego źródła dochodu. A opłata za ogrzewanie zmiotła mnie już ostatecznie. Pieniądze dawno mi się skończyły. W międzyczasie może i trochę dorobiłam, ale chciałabym w końcu poczuć się stabilniej w tym moim rozchwianym życiu. Nadchodzący wrzesień napawa nadzieją. Ale jeśli nie wynajmę pokoju, będę jadła tynek i popijała go deszczówką. Tą wpadającą przez okno.

Bardzo ci dziękuję.

Przechodzę do kuchni, wyciągam z lodówki małe garnki z wczorajszym obiadem, po czym ustawiam je na gazówce.

Pachnie smakowicie. Jak najbardziej nadaje się do spożycia, no i jest dużo lepsze niż rarytasy z blaszaka na dworcu.

Słyszę kroki na korytarzu. Wraca.

Dobra, pora na lepszy uśmiech.

Nie ma co straszyć go tym obliczem, które wita mnie codziennie rano w lustrze. Może jeśli będę cały czas się tak wymuszenie uśmiechała, wkręcę sama siebie, że to jednak jest prawdziwe. Takie placebo.

Nie, Anastazjo, nie uciekłaś z domu z jedną reklamówką. A przy okazji – stać cię na czynsz za mieszkanie.

Moje życie to istna bajka. A mam dopiero niespełna dwadzieścia pięć lat.

Otwiera drzwi i wchodzi, śmiesznie duży, do zabawnie małego przedpokoju. Torbę ma co prawda niewielką, ale ja, gdy się wyprowadzałam, miałam jeszcze mniejszą.

Ciekawe, czy on też ucieka?

Nie, to bez sensu. Nie ma szans. Takich jak on nie spotyka to, co przydarza się takim jak ja. Zapewne przyjechał na urlop. Jest bardzo ładnie umięśniony, toteż wysiłek fizyczny mu nie straszny. Powędruje po górach, po czym wróci do domu, pracy i przyjaciół, może też do dziewczyny, narzeczonej, a nawet żony. Jest przystojny i dobrze wychowany. Coś około trzydziestki. Jeśli charakter dorównuje jego urodzie, to zapowiada się na ideał.

Patrzy na mnie chwilę i wskazuje głową na drzwi swojego pokoju. Przytakuję, więc wchodzi do siebie, zostawia torbę i wraca, uśmiechając się lekko.

Surfer z dołeczkami w policzkach na pewno nie jest seryjnym mordercą. Zresztą wszystko okaże się dziś w nocy. Jeśli obudzę się rano cała i zdrowa, znaczy, że intuicja mnie nie zawiodła. No, chyba że w ogóle się nie obudzę. Ale to akurat nie zrobi nikomu różnicy.

Nawet mnie samej.

– Gołąbki i ziemniaki. Może nie jakieś wyszukane, ale dobre. Mam taką nadzieję.

Wyciągam z szafki dwa duże talerze, bo chociaż nie wyglądam, lubię zjeść.

– Pachną smakowicie – mówi tak szybko, jakby nie rozdzielał słów. I jest głośny. Ustawiłby każdego. Kto wie? Może nawet *jego*.

– Siadaj, już podaję. – Wskazuję krzesło.

Nie korzysta z zaproszenia i staje obok mnie. Wpatrujemy się teraz w zawartość zielonego rondla. Słyszać tylko palnik i bulgotanie sosu.

– Spoko, sam sobie nałożę – informuje, rzucając mi pogodne spojrzenie.

Łapie za łyżkę i wyciąga z garnka kapuściane zawiniątko. Następnie sięga po mój talerz i robi to samo.

– Ile? – mówi całkiem normalnie, ale brzmi, jakby nawoływał kogoś z samego Giewontu. Aż włoski na ciele stają dęba.

– Jeden – mówię i wyciągam z garnka po dużej porcji ziemniaków.

Siadamy w końcu i zaczynamy posiłek. W nieznośnej ciszy słysząc każde młasknięcie, a nawet przełykanie. Kiedy sięgam po sól, Michał przygląda mi się wyraźnie zaintrygowany.

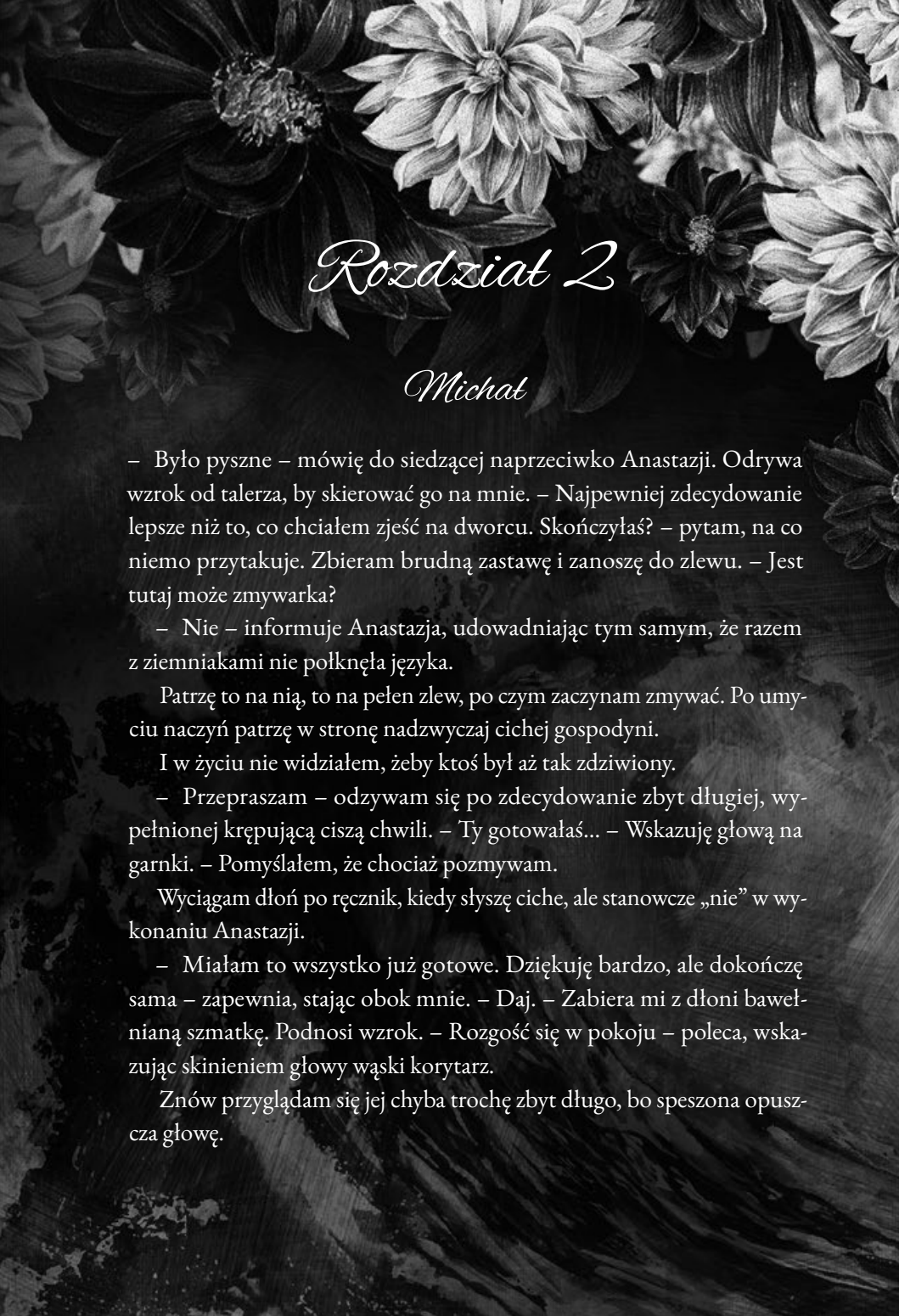
– Coś nie tak? – pytam trochę wystraszona, ale zadowolona z pretekstu do przerwania milczenia. Może i ma dołączki, ale nadal jest dla mnie całkiem obcy.

– A nic. Dużo masz tych ziemniaków. Więcej ode mnie. – Wskazuje głową na talerz.

– Moja mama powtarzała, że lepiej mnie ubierać niż karmić.

Kiwa głową, jakby zaakceptował moją odpowiedź. Jem dalej w grobowej ciszy i w towarzystwie nieznajomego.

Kurde, do czego mnie ta moja desperacja doprowadziła?



Rozdział 2

Michał

– Było pyszne – mówię do siedzącej naprzeciwko Anastazji. Odrywa wzrok od talerza, by skierować go na mnie. – Najpewniej zdecydowanie lepsze niż to, co chciałem zjeść na dworcu. Skończyłaś? – pytam, na co niemo przytakuje. Zbieram brudną zastawę i zanoszę do zlewu. – Jest tutaj może zmywarka?

– Nie – informuje Anastazja, udowadniając tym samym, że razem z ziemniakami nie połknęła języka.

Patrzę to na nią, to na pełen zlew, po czym zaczynam zmywać. Po umyciu naczyń patrzę w stronę nadzwyczaj cichej gospodyni.

I w życiu nie widziałem, żeby ktoś był aż tak zdziwiony.

– Przepraszam – odzywam się po zdecydowanie zbyt długiej, wypełnionej krępującą ciszą chwili. – Ty gotowałaś... – Wskazuję głową na garnki. – Pomyślałem, że chociaż pozmywam.

Wyciągam dłoń po ręcznik, kiedy słyszę ciche, ale stanowcze „nie” w wykonaniu Anastazji.

– Miałam to wszystko już gotowe. Dziękuję bardzo, ale dokończę sama – zapewnia, stając obok mnie. – Daj. – Zabiera mi z dłoni bawełnianą szmatkę. Podnosi wzrok. – Rozgość się w pokoju – poleca, wskazując skinieniem głowy wąski korytarz.

Znów przyglądam się jej chyba trochę zbyt długo, bo speszona opuszcza głowę.

– Dobra, przepraszam, że się tak panoszę... – zaczynam sam nie wiem dokąd zmierzającą rozmowę, która zdaje się wpędzać Anę w jeszcze większe zakłopotanie. – Cały czas po sobie sprzątam – rzucam, patrząc na już pusty zlew. – Odruch i podziękowanie.

Anastazja przymyka wybałuszone ze zdziwienia oczy.

Odwracam się, zasuwam krzesło i ruszam w stronę korytarza.

– To będę u siebie – mówię. – W razie gdybyś mnie potrzebowała – dopowiadam i nie czekając na odpowiedź, która zapewne nie nadejdzie, w końcu ruszam „do siebie”.



Pokój jest mały, ładny i schludny. Więcej powiedzieć o nim nie można.

Przystając pośrodku niedużego pomieszczenia i sunę po nim ledwo przytomnym wzrokiem. Dwuosobowe łóżko wygląda na wygodne, ale trochę przykrótkie. Czerwona pościel co prawda średnio pasuje do seledynowych ścian, ale ważne, żeby była czysta. Do dyspozycji mam szafę i mały telewizor, którego nie planuję używać. Za to chętnie przeczytam zostawione przez Anastazję książki.

Jestem wykończony po podróży, a do tego chyba trochę za dużo zjadłem.

Ociężały i padnięty jak nigdy, postanawiam od razu się położyć. Wyciągam zbyt długie nogi na zbyt krótkim łóżku, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Ciche i delikatne, jak właścicielka uderzających o płytę wiórową dłoni.

– Jezu – mamroczę pod nosem. Od razu się jednak za tę nieuprzejmość karczę.

To nie wina Anastazji, że jechałem tutaj długo, a trasa należała do najnudniejszych, jakie dane było mi pokonać. Dlatego nie zważając na fakt, że już ledwo widzę na oczy, mówię znów nieco za głośno:

– Tak?!

Unoszę głowę w oczekiwaniu na odpowiedź. Coś tam mruczy, zdecydowanie zbyt cicho i nieśmiało, przez co muszę zwlec się z łóżka i otworzyć drzwi.

Gdy to robię, pierwsze, co widzę, to przypominający małą palmę kucyk wyrastający z czubka głowy przyglądającej mi się uważnie Anastazji. Niemal mrużę oczy, które oslepia żółć jej dresowej bluzy.

– Masz może ochotę na kawę? – pyta i wciska mi do ręki fioletowy kubek w kształcie jeża.

Przejmuję go z myślą, że w życiu nie widziałem tak dziwnej rzeczy. Piernikowe ludki, skrzaty czy lisy, owszem. Ale jeże? I to fioletowe?

– Zrobiłam dla siebie i pomyślałam, że może też się napijesz – tłumaczy, wyczekująco we mnie wgapioną.

Choć kawy specjalnie nie pijam, tym razem postanawiam zrobić wyjątek.

– Chętnie – odpowiadam.

Biorę kolejny łyk i wbijam wzrok w ścianę za Anastazją.

– Super. To ja idę pobiegać, jakby co. – Miękki głos sprawia, że spoglądam w dół. – Tutaj masz klucze. Brama, schowek. – Unoszę pytająco brwi. – Tam jest rower. Mieszkam tu już dosyć długo i wiem, że zdecydowanie lepiej przemieszczać się po Zakopanem nim, a nie autem czy taksówką.

– Okej.

– No, a tutaj do mieszkania – dopowiada, machając mi przed twarzą kluczem starym jak sama Ostoja. – Bo pewnie chcesz gdzieś wyjść, godzina akurat odpowiednia na poznanie nocnego życia górali.

– A ty na długo wychodzisz? – pytam, na co w moment poważnieje.

– Będę niedługo – informuje. Odwraca się na pięcie i rusza w kierunku drzwi. – Pa!

– Pa – mówię przeciągle już sam do siebie i zamykam drzwi pokoju.

Wracam do łóżka i po kilku minutach w końcu zdaję się odpowiednio rozluźniony. Naciągam kołdrę na głowę, przytulam twarz do miękkiej poduszki i ku ogromnej ucieście ogłupiałego ze zmęczenia mózgu – odpływam.

Anastazja

Zawiązuję buty, poprawiam kitkę, naciągam jebitnie żółtą bluzę i startuję. Wiem, że świecę się jak żarówka, ale doszłam do wniosku, że może dzięki temu uda mi się pozostać na widoku. Jeśli tu przyjdzie, na myśl o czym już mam ciarki, będzie oczekiwał mnie wystraszonej i schowanej. A nie biegającej w neonowej stylówce.

Kiedyś słuchałam muzyki podczas biegania.

Ale to było dawno temu, kiedy jeszcze byłam, w *jego* mniemaniu, „grzeczna” i „nie aż tak durna”.

Dziękuję, o łaskawco.

Od trzech lat tego nie robię. Słuchając ulubionych utworów, nawet cicho, człowiek traci czujność. A na to nie mogę sobie pozwolić. Jeden nieostrożny ruch czy moment zapomnienia i wrócę do miejsca, w którym nikt nie chciałby się znaleźć.

Przemierzając dobrze znaną trasę, przyglądam się każdemu drzewu i zagajnikowi. Patrzę na twarze mijanych przechodniów i za każdym razem odczuwam ulgę, kiedy się okazuje, że to nie *on*.

Jego jeszcze tu nie ma.

Gdyby był, nie byłoby *mnie*.

Biegam sześć kilometrów co drugi dzień. Nie dla zdrowia czy smukłej sylwetki. Muszę być sprawna, żeby się obronić. A najlepiej uciec bez konieczności robienia tego. Żeby znów nie zabrakło mi siły, kiedy przyjdzie walczyć o życie.

Przyśpieszam i patrzę na rozciągający się przede mną górski krajobraz. Powinnam być zachwycona. A nie byłam w górach ani razu.

Gdy dobiegam do okolicznego supermarketu, wiem, że pora zawracać. Dokładnie trzy kilometry i siedem metrów. Kupuję małą wodę i ruszam w drogę powrotną. Tym razem biegnę dużo szybciej. Pochyliłam się lekko do przodu, zagryzam zęby i nie zważam na piękący ból w łydkach.

Jeśli się pojawi, będę musiała uciekać pomimo bólu.

Po chwili widzę majaczącą w oddali „luksusową” kamienicę, w której to przyszło mi spędzić ostatnie trzy lata. Właśnie takiej szukałam po przyjeździe. Starej i strasznej. Koniecznie w centrum. Żadna będąca przy zdrowych zmysłach kobieta nie chciałaby tu mieszkać. Nie tylko przez „czarującą” okolicę, ale też nieadekwatny do standardów, zatrważająco wysoki czynsz.

On najprawdopodobniej jest pewien, że nie mam funduszy na jakiegokolwiek lokum. O tym, że mieszkam przy jednej z najdroższych ulic w Polsce, w ogóle nie pomyśli. Do czasu oczywiście. I jeśli mi się poszczęści. W przeciwnym razie znajdzie mnie wszędzie.

Zatrzymuję się dopiero po przekroczeniu bramy. Upijam łyk wody, kiedy słyszę coś na kształt płaczu lub skomlenia. Podążając za dźwiękiem, podchodzę do jego źródła. A jest nim nic innego jak wielki, upchnięty we wnękę, skąpany w ciemności kontener na śmieci.

*Urocz*o – myślę, robiąc pierwszy krok w przód. Przy dwóch kolejnych już soczyście przeklinam.

Pochylam się nad klapą, uchylam ją lekko. Wytężam wzrok i czekam, aż ten przyzwyczajai się do panującego dookoła mroku. Po kilku mrugnięciach po prawej dostrzegam zarys czegoś ruchomego. Przysuwam się jeszcze bardziej i orientuję, że patrzę na leżące jeden na drugim małe kotki. Bez zastanowienia sięgam po stojący obok kontenera karton. Przekładam je delikatnie. Sprawdzam, czy nie krwawią i przede wszystkim czy żyją.

Z takim pakunkiem i kapiącymi na tekturę łzami zmierzam do swojej kryjówki na trzecim piętrze.

Michał

Po bliżej nieokreślonym czasie budzi mnie dobiegający z przedpokoju szelest. Próbuję zlekceważyć hałas, odwracając się na drugi bok i przykrywając głowę poduszką. Jednak po pięciu minutach dziwnych dźwięków i czegoś,

co brzmi jak płacz, postanawiam wyjść i zobaczyć, co takiego robi moja kurczakowożółta gospodyni.

Otwieram drzwi pokoju, wyglądam na korytarz, a moim oczom ukazuje się siedząca po turecku Anastazja. Z trzema małymi kotami. Rudym, czarnym i łaciatym.

– Przepraszam. Obudziłam cię? – pyta, usiłując wyrwać palec z pyszczka niemal pomarańczowego kociaka. – Nie mogę ich ogarnąć.

Ma rację – zdecydowanie nie może. Jeden wspina się po jej czarnych włosach, zmierzając ku czubkowi głowy. Drugi usiłuje wskoczyć na rękaw bluzy, a trzeci oddala się, by zwiedzić okolicę.

– Nie wiedziałem, że masz małe kotki – zauważam, ściągając jej z głowy jednego z nich.

– Nie mam. Znalazłam je pod śmietnikiem. Ktoś je wyrzucił – informuje łamiącym się głosem.

Podchodzę bliżej i kucam, żeby przyjrzeć się zwierzakom.

– Trzeba je nakarmić – stwierdzam odkrywczco, udając, że nie zauważam spływających po policzkach Anastazji łez i coraz bardziej drżącej brody. – Chyba przyda się też jakiś weterynarz. Zobacz, czy nie są chore. Mają dziwnie skleione oczy – zauważam, przyglądając się czarnemu pyszczkowi.

Zabieramy zwierzyniec i ruszamy do kuchni.

– Kurde, nie mam nic. Nie mogę dostać mleka krowiego.

Znów zwiesza głowę, przez co nie jestem w stanie zauważyć, czy nadal płacze. Po tonie głosu wnioskuję jednak, że tak.

– Podjadę do sklepu – proponuję od razu, otrzymując w zamian spojrzenie cielecych oczu.

– Serio?

– Tak, serio. Jak coś proponuję, to na ogół na poważnie, nie dla śmiechu – mówię zbyt głośno, a Anastazja smutnieje.

Brawo, Michale. Zgnój kobietę ratującą małe kotki. Karczę się w duchu i usiłuję przywołać na twarz łagodny, pokrzepiający uśmiech.

– To co kupić? I gdzie? – Przerywam krępującą, trwającą zdecydowanie zbyt długo ciszę.

Podchodzi bliżej i przystaje naprzeciwko.

– Daj telefon. – Wyciąga dłoń. – Wpiszę ci adres.

Sięgam do kieszeni spodni, po czym podaję jej roztrzaskanego Samsunga. Przygląda mu się dłuższą chwilę, zabiera urządzenie i wpisuje lokalizację.

– Super. To co mam wziąć? – pytam, zerkając kątem oka na adres, pod który mam się udać. Co i tak nic mi nie daje. Przecież nie znam Zakopanego.

– Mleko dla kociąt. Tam jest klinika całodobowa, więc na pewno mają – mówi, po czym wyciąga z portfela banknot. – To powinno wystarczyć. – Stoi ze ścisną w rękę stówą.

Gołym okiem widać, że jej się nie przelewa. Nie stałaby z kartonem na dworcu, gdyby było inaczej.

– Ja zapłacę. Przy okazji ty i koty też pojedziecie. Niech je od razu zbadają. – Wkładam zwierzaki ponownie do pudła. – Nie jest znowu tak późno. Może nawet nie policzą za nocny dyżur.

Podnoszę kocią armię i podchodzę do nieprzerwanie zszokowanej Anastazji.

– Tak. No... – mamrocze pod nosem, znów na mnie nie patrząc. Chwyta opadające na czoło pasmo włosów i zakłada je za ucho.

– No? – popędzam ją, raz jeszcze karcąc się za nieadekwatny do sytuacji, zbyt surowy ton. – Przepraszam. Strasznie jestem dziś nieuprzejmy. Nie wiem dlaczego. To chyba brak snu tak na mnie działa – tłumaczę się, widząc wymalowane na opalonej twarzy zmieszanie.

– Nie mam kasy – mówi cicho, nadal wpatrzona w podłogę. – Na weta. Już ledwo mam na to mleko – dodaje i przeciera dłońmi wilgotne oczy.

– Za weterynarza też zapłacę – proponuję, bo widać przed momentem nie wyraziłem się wystarczająco jasno. Spoglądam na śpiące w kartonie kociaki. – Bo serio te oczy mnie niepokoją.

– Dobra, ale zobaczymy, ile wyjdzie ci od noclegu.

Kręcę energicznie głową.

– Nie. Zapłacę normalnie i za nocleg, i za koty – rzucam i omiatam spojrzeniem kuchnię. Już sam wygląd pomieszczenia świadczy o tym, że

Anastazji opłata za nocleg jest bardziej niż potrzebna. – Tylko chodźmy – mówię, wskazując głową w kierunku drzwi.

Ruszam gwałtownie, na co Ana odskakuje w lewo.

– Przepraszam. Z natury jestem ekspresyjny – tłumaczę się i z zadowoleniem obserwuję, jak kiwa głową.

– To zupełnie inaczej niż ja – oznajmia, przystając przy szafce z butami. Wsuwa adidas, rozpuszcza i roztrzepuje włosy. – Chodźmy. – Przepuszcza mnie przodem.

Anastazja

Te schody i małe koty to prośenie się o śmierć. Dobrze, że przede mną idzie Michał, w razie czego spadnę na niego. Pewnie nawet nie drgnie. Jest wysoki jak drzewo i zdaje się twardy niczym kamień.

Pokonuję kolejne stopnie z myślą, że jeśli uda mi się kiedyś uciec na tyle daleko, że będę pewna, iż *on* mnie nie znajdzie, zamieszkam na parterze. Albo chociaż w budynku bez łamiących kark schodów.

Dochodzi dwudziesta pierwsza, więc gdy wychodzimy na zewnątrz, wita nas zwiastująca rychły mrok szarość. O tej porze staram się nie zapuszczać dalej niż na podwórko. A to i tak tylko w nadzwyczajnych sytuacjach. W ciągu trzech lat wyszłam po zmroku zaledwie kilka razy.

Przystaję przed bramą, by obrzucić czujnym wzrokiem podwórze. Widząc, że jest puste, ruszam pędem przed siebie. Rozglądam się przy tym na boki, żeby się upewnić, że w żadnej z licznych skrytek i wnęk nie ma *jego*. Na dźwięk odpalanego auta podskakuję i łapię na moment ramię towarzysza.

– Strachliwa jesteś – grzmi, idąc obok.

Rzeczywiście do najcichszych nie należy.

Aż tak widać, że ledwie tu oddycham? – myślę i wzruszam ramionami.

Byłam przekonana, że jestem lepszą aktorką. Miałam wiele lat na dojście do perfekcji. Jak widać, zmarnowałam cały ten czas i nie nauczyłam się nawet tego.

– Nie no, tak szybko chodzę – bąkam pod nosem, nie zwalniając tempa.

Michał dotrzymuje mi korku, gdy przechodzimy przez bramę. Patrzę w lewo, spoglądam w prawo. Zerkam na przyglądającego mi się faceta.

– Tam – oznajmia i pokazuje palcem stojące kawałek od nas zaparkowane przy drodze auta. – Granatowy.

Zaczyna kroczyć we wskazanym kierunku, a ja podążam za nim niczym upierdliwy, namolny i ubogi cień.

– Proszę. – Otwiera drzwi auta.

Wskakuję do niego od razu, zapinam pas i oddycham z ulgą. Przyklejam czoło do szyby, żeby obadać wzrokiem pobliskie drzewa i krzaki.

Michał zajmuje miejsce za kierownicą.

– Wszystko dobrze? – pyta, a po tonie głosu wnioskuję, że nie udaje zainteresowania.

– Tak. Jedźmy, proszę.

Jest bardzo źle. Jeżeli nie ruszymy, za moment zacznę się dusić, krzyczeć lub mdleć. Może mi się poszczęści i nie będę wymiotować.

– Dobra. Tylko trzymaj koty. Nie chcę któregoś przypadkowo nadepnąć.

Przyglądam mu się z myślą, że jest od *niego* wyższy. Patrząc na całkiem ładnie zarysowany biceps, dochodzę do wniosku, że zapewne też silniejszy.

Złamałby *go* wpół.

Ale nie złamie.

Nie ma co się łudzić. Szkoda byłoby mu zachodu. Jest taki... Nie wiem. Widać, że lepszy.

– Zawsze tak wychodzisz z domu? Jak ninja? – pyta i dopiero teraz zauważam, że on również przygląda mi się kątem oka.

– Tylko po zmroku – rzucam i od razu gryzę się w język.

– Boisz się ciemności? – docieka, odwraca twarz w moją stronę i uśmiecha się lekko, jakby chciał dodać mi otuchy.

Trochę przykre, że najbliższą mi osobą jest obcy z dworca PKP.

– Tak – odpowiadam krótko z nadzieją, że to załatwi sprawę.

– Okej – rzuca tylko, a ja oddycham z ulgą.

Michał

Parkuję auto pod kliniką, zadowolony, że Anastazja zdążyła się trochę uspokoić. Oddycha wolniej, a gdy kieruje ku mnie spojrzenie, wydaje się ono zdecydowanie mniej rozbiegane.

– Według nawigacji jesteśmy na miejscu. – Spoglądam na opuszczony parking i stojący pośrodku niego budynek. – To tutaj, tak? – dociekam, na co kiwa głową.

Znów szybko i nerwowo. Przyciska czoło do szyby. Prostuje się, po czym patrzy w moją stronę.

– Idziemy? – pytam, przywracając ją do rzeczywistości.

Poprawia włosy, pociera dłońmi rozpalone do czerwoności policzki.

– Tak, chodźmy.

Wysiada z auta i rusza pędem do kliniki, zostawiając mnie daleko w tyle.

Ruszam za nią wolnym krokiem.



Kiedy wchodzę do środka, Anastazji nie ma w poczekalni. Słyszę dochodzący z gabinetu sympatyczny głos, a przez mleczną szybę dostrzegam zarys jej ciała.

Kurde, ten jej strach nie daje mi spokoju. To nie jest taki zwykły niepokój. Wydaje się autentycznie przerażona.

A ja wścibski. I durny. Jak widać, mało mi ratowania lasek po przejściach. Już pomijam fakt, że przyjechałem jedną z nich odzyskać.

Albo nie. Sam nie wiem. Już w połowie drogi do Zakopanego zacząłem wątpić w słuszność swej decyzji.

Dochodzący z gabinetu głos staje się bardziej donośny, toteż wstaję i – uzbrojony w kartę płatniczą – ruszam w kierunku recepcji.

– Dziękuję bardzo.

Anastazja wychodzi ze swoją nową kocią świtą i posyła weterynarzowi ten sam uśmiech, którym uraczyła mnie na dworcu.

Szeroki, piękny.

W chuj nieszczery.

– Załatwione? Wszystko z nimi dobrze? – pytam, gdy przystaje obok.

– Ten czarny ma koci katar. – Ale mam leki. Przy okazji reszta też dostanie. – Milknie na moment. Bierze głęboki wdech i wypuszcza powoli powietrze. – Przywiózłbyś nas na kontrolę? – pyta, unosi twarz i raczy mnie spojrzeniem, któremu nie da się odmówić.

Przynajmniej ja nie potrafię.

– Jasne. Nie ma sprawy – odpowiadam i chyba pierwszy raz widzę, że uśmiecha się szczerze. – Zapłacę i idziemy – zarządzam, po czym podchodzę do recepcji i reguluję rachunek.

Wychodzimy na zewnątrz, gdzie zdążyło się rozpadać. Ściągam więc bluzę, żeby okryć nią koty i Anastazję.

– Podobno nie przepadają za wodą, a ty chyba nie chcesz być chora – tłumaczę, kiedy znowu patrzy na mnie tymi sarnimi oczami.

Odwracam twarz i chrząkam. Kiedy zerkam na Anę ponownie, widzę ją biegnącą do auta.

– Nie to! – wołam, kiedy szarpie się z drzwiami Forda, chociaż przyjechała Nissanem.

Szybko się reflektuje i wskakuje do właściwego pojazdu.

– Nie bój się. W razie potrzeby cię obronię – rzucam niedbale, zajmując miejsce za kierownicą.

Kurwa – przeklinam fakt, że na ogół najpierw mówię, potem myślę.

Anastazja milczy dłuższą chwilę, a później zaczyna płakać. Głośno. Nawet bardzo.

Nie wiem, czy ją poklepać po ramieniu, czy co. Siedzi i cała się trzęsie. Koty podchwytyją melodię i zaczynają wtórować.

Boże.

Istny chór rozpaczy.

– Już dobrze – mówię jak do pięciolatka, który zdarł kolano na placu zabaw.

W końcu poklepuję ją lekko. Podnosi twarz i patrzy na mnie, po czym znów zaczyna łkać.

– Sorry – bąka, wycierając gila w żółtko, które nadal ma na sobie. – Mam zły dzień. Żałosne – mówi, głaszcząc czarnego kota.

Naprawdę nie chcę wiedzieć. Nie muszę. Nie powinienem.

– Co?

Po cholerę mi całe to gadanie do siebie w myślach, skoro i tak nic nie daje?

Zero odpowiedzi. Zasnęła. W pół minuty. Nawet nie.

Może to i lepiej. Wyciągam rękę i przysmykam karton z kotami, żeby nie rozeszły się po aucie.

Nie ma potrzeby, żebym wiedział o niej więcej niż to konieczne. Czyli jak ma na imię i ile kosztuje pokój w jej mieszkaniu. Może nawet powinienem się wynieść.

Ale mam zostawić ją z tymi problemami finansowymi?

Ja pierdolę.

Trzeba było zrobić rezerwację przed wyjazdem z Ostoi. Tylko wtedy co?

Nawet te koty miałyby przesrane.



Rozdział 3

Anastazja

Rozsiadam się na krześle i przysuwam do odrapanego stołu. Wlepiam wzrok w blat z myślą, że skoro już postanowiłam urządzić sobie z mieszkania hostel, to mogłam tę dechę przykryć chociażby obrusem.

Rzucam okiem w stronę zaporowanego okna. Wzdycham bezgłośnie, krzywię się na myśl o coraz mocniej zacinającym deszczu i nadciągającej nieuchronnie burzy.

Szczęśliwie Michał poszedł już do siebie i zapewne teraz smacznie śpi. Nie da się ukryć, że odpoczynek mu się należy. Z tego, co mówił, ma za sobą dziesięciogodzinną podróż i czas spędzony na niańczeniu mnie oraz kotów. Nic dziwnego, że po przyjeździe z kliniki pożegnał się kulturalnie i zawiął do pokoju.

Przykładam palce do skroni, zaczynam pocierać je najpierw delikatnie, zaraz jednak zwiększam nacisk. Poranne ćmienie zamieniło się w uporczywe pulsowanie już nie tylko czoła, ale całej głowy.

Dość mi wstydu jak na jeden dzień. Dziś los zaserwował mi combo upokorzeń. A nie da się ukryć, że w ciągu ostatnich trzech lat przeżyłam ich nieco mniej niż wcześniej. Nic dziwnego, skoro od momentu, gdy zamieszkałam w tym zajeżdżającym stęchlizną apartamencie, oddaję się nie życiu, a nudnej roślinności.

Wstaję i wyciągam z szafki butelkę wódki, przy okazji zgarniam też kieliszek. Stawiam wszystko na stole, po czym kieruję się do lodówki po schłodzone wino. Do tego trunku naczyń już nie posiadam, toteż

zgarniam z suszarki umyty przez Michała kubek. Rechoczę pod nosem, gdy przed oczami staje mi wyraz twarzy mojego gościa, kiedy kazałam mu z tego jeża pić kawę.

Napełniam fioletowe cacko czerwonym alkoholem, do całości dolewam kieliszek wódki. Siadam, upijam łyk wykrzywiającego twarz „drinka” i kieruję wzrok na moich nowych małych przyjaciół. Gdy rudy wskakuje na czarnego, rozciągam usta w szerokim uśmiechu. To zaskakuje mnie tak bardzo, że aż nieruchomię na dłuższą chwilę i próbuję wygrzebać z pamięci sytuację, podczas której byłam chociażby zadowolona. O szczęściu nie wspominając.

Dziękuję ci bardzo.

Dobrze, że zdecydowałam się na trening o tej nieoczywistej dla mnie porze. Gdyby nie powodowana desperacją wizyta na dworcu, wybrałabym się na przebieżkę dużo wcześniej, by wrócić do domu przed przygotującą o dreszcze szarością wieczornego nieba. Rano pewnie byłoby po kotkach. Uduśłyby się przygniecione śmieciami i nikt nie usłyszałby ich cichego pisku.

Ja, kiedy miałam jeszcze nadzieję, też próbowałam wołać o pomoc. Dokładnie dwa razy. Pamiętam, bo po każdej próbie bardzo długo musiałam być cicho.

Kolejny łyk i jeszcze jeden. *On* mnie tak nauczył. Oszczędniej, bo szybciej. A ja, jeśli już piję, to musi być tanio. Alkoholu w ustach nie miałam od bardzo dawna, więc skutki jego działania powinnam poczuć od razu. Nie chcę się upić. Potrzebuję rozluźnienia, które wyciszy wirujące w głowie obawy o to, co będzie... Jutro, za tydzień, miesiąc czy rok.

– Chyba okno przecieka. – Słyszę zaspany głos Michała.

Wzdycham przeciągle, przeklinając pod nosem los, naturę i kogoś lub coś, co było na tyle bezmyślne, że nas stworzyło. Przyciskam dłoń do czoła, pocieram kilka razy z nadzieją, że prosty gest pomoże zebrać myśli.

Nic z tego.

– Jezu, jaki wstyd – mamrocę pod nosem.

Podnoszę się i zwlekam tyłek ze skrzypiącego krzesła. Rzucam przeciągłe spojrzenie pogrążonemu w ciemności korytarzowi, po czym ruszam.

Powłóczę nogami, a każdy krok zdaje się bardziej ociężały od poprzedniego. Gdy podnoszę wzrok i dostrzegam stojącego w progu pokoju Michała, mam ochotę zrobić pozbawiony gracji, ale bardzo dla mnie charakterystyczny w tył zwrot.

– Co się stało? – pytam i zatrzymuję się naprzeciwko niego. Od razu odsuwa się i puszcza mnie przodem. – A, okno.

Wchodzę i przystaję pośrodku. Zrezygnowana opuszczam ramiona. Zaraz jednak się reflektuję i polykam przysłowiowy kij od miotły. Taka nienaturalnie wyprostowana zmierzam w kierunku oranej deszczem szyby. Staję przy parapecie, sama nie wiem po co. Przecież tego okna nie naprawię. Mam ochotę kopnąć je z całej siły, żeby ta głupia uszczelka, czy cholera wie co, wyleciała i dała mi święty spokój.

– No cieknie – mówię cicho, odkrywając tym samym prawdę objawioną.

Raz jeszcze wlepiam wściekłe spojrzenie w odrapany z farby olejnej parapet. Zdążyła zrobić się na nim całkiem spora kałuża. Woda spływa na parkiet.

Odwracam się na pięcie i wracam do Michała. Byłoby mi łatwiej zachować zimną krew, gdyby odezwał się chociaż słowem. Zamiast tego stoi oparty o framugę i wlepia we mnie uważne spojrzenie.

– Poczekaj, proszę – mówię, a w moim głosie pobrzmiwa rezygnacja. – Ogarnę to.

Wymijam go szybko, wychodzę z pokoju, by wejść do łazienki. Chwytam mop, rolkę papierowych ręczników i wracam do mojego gościa. Przemykam przed nim z nadzieją, że wyglądam nieco mniej żałośnie, niż się czuję. A już o samym fakcie, że zapewne mi się teraz przygląda, staram się nie myśleć.

– Pomogę.

Podchodzi i – kiedy ja wycieram kałużę pod ramą okna – on zabiera się za ogarnianie parkietu. Muszę przyznać, że to bardzo miłe i całkiem nowe doświadczenie, bowiem od śmierci rodziców, a potem babci, nikt mi nigdy nie pomógł.

Nawet te dwa razy.

– Już chyba jest sucho. – Podskakuję na dźwięk donośnego głosu. – Parapet też – mówi i staje obok.

W moment przerywam nerwowe pucowanie. Oblewam się rozgrzewającym ciało rumieńcem.

Chrząkam cicho, zakrywając usta dłonią.

Sięgam po ręcznik i podkładam go pod okno z nadzieją, że chociaż trochę ograniczy irytujące już cieknięcie. Biorę głęboki wdech i odwracam się twarzą do niego.

– Dobra – zaczynam zadziwiająco pewnym tonem. – Zrozumiem, jeżeli nie będziesz chciał tu zostać.

Michał jest miły, dobry. Taki się przynajmniej wydaje.

Zupełnie inny niż *on*.

– Śpij może u mnie – kontynuuję, wpatrzona w pogodne zielone oczy. – Zmieniałam pościel. – Odruchowo wskazuję na stojące przed nami łóżko. – Ja zostanę tutaj.

Milknę w końcu. I od razu tego żałuję, jako że całe to piskliwe trajkotanie było lepsze niż uwierająca mózg cisza. Szczególnie ta w wykonaniu nad wyraz głośnego Michała.

Dawno nie czułam się tak skrępowana jak teraz, gdy stoję przed nim w tym zasranym staniku sportowym, o którym całkiem zapomniałam.

Kto w ogóle paraduje tak ubrany z obcym mężczyzną pod dachem? Przecież to wygląda jak zaproszenie.

Przełamuję wstyd i spoglądam na przystojną, skupioną twarz. Krzyżuję nasze spojrzenia, a gdy widzę, jak podnosi dłoń, żeby przeczesać nią prawie białe włosy, przez krótką chwilę mam wrażenie, że to mnie tak dotyka. Delikatnie, ledwo wyczuwalnie.

Inaczej niż kiedykolwiek dotykał mnie *on*.

Naprawdę brakuje mi bliskości. Co zaskakuje, skoro to jej najbardziej się obawiam.

Chyba. Może. Sama już nie wiem.

W końcu nigdy nie byłam z nikim blisko z własnej woli, powodowana chęcią czucia się dobrze, a nie strachem.

No nic. Pora po raz kolejny przelknąć pigułkę o dobrze mi znanym i ostatnio ulubionym smaku upokorzenia.

– Dobra, zabiorę tylko koty i będziesz mógł się tam przenieść – rzucam cicho, podchodzę do drzwi, mijam Michała i chyba lekko go szturcham.

Widać „tanio i szybko” zaczyna spełniać swoją powinność.

– Poczekaj – prosi, czym sprawia, że zatrzymuję się od razu. – Zostanę i naprawię ci to okno – oświadcza, sprawiając, iż czuję się jeszcze gorzej niż przed momentem.

Ten jeden raz chciałam wyjść na osobę odpowiedzialną, panującą nad czymkolwiek. Jak do tej pory szło mi całkiem nieźle. Gdyby pominąć płacz pod kliniką, udawało mi się zachować jako taki poziom godności. Co prawda dostrzegam sposób, w jaki Michał na mnie patrzy, i zauważam bijący z zielonych tęczówek żal zmieszany z litością.

Wolę jednak to niż wściekłość, która w moment przeistacza się w nienawiść. I wtedy nie pozostaje nic innego, jak czekać.

I być cicho.

Odwracam twarz w stronę przyglądającego mi się mężczyzny i dochodzę do wniosku, że nic bardziej „jasnego” nie widziałam. Cała jego postać zdaje się promienić i sprawia, że im bliżej jestem, tym bezpieczniej się czuję. Jakby ta emanująca od niego siła roztaczała aurę, w której mogłabym się ukryć. Poprzebywać choć chwilę. Nabrałabym wtedy sił na kolejne kopy w twarz. Czy te realne, pozostawiające siniaki, czy metaforyczne, raniące samą duszę.

To takie żałosne. Ja jestem żałosna. Moje pragnienie uwagi i miłości jest żałosne.

– Nie musisz – oponuję cicho, bo głośno nie potrafię. – To chyba nie był dobry pomysł. – Kręcę głową, rozkładając ręce. – Nie mam warunków ani pieniędzy, żeby przyjmować tu gości. Niepotrzebnie poszłam na ten dworzec. Na pewno znajdziesz coś innego, nawet w lepszej

cenie – wykrztuszam, nie starając się już powstrzymać wybrzmiewającego w głosie zawodu samą sobą.

Michał przechyla głowę i przygląda mi się z uwagą. Pociera dłonią opalony policzek, masuje palcami grzbiet prostego nosa.

– Ale kasy potrzebujesz – odzywa się po chwili zastanowienia. – Więc albo zostanę tu ja, albo będziesz musiała poszukać kogoś innego. A nie wiesz, na kogo trafisz.

Oczywiście ma rację. Potrzebuję gotówki bardziej niż kiedykolwiek i nie chcę nikogo innego pod dachem tegoż rewelacyjnego apartamentu z malowniczym oczkiem wodnym pośrodku sypialni.

Ale jestem już tak przybita, zrezygnowana i upokorzona jego brakiem zainteresowania moimi prawie nagimi piersiami, że postanawiam wyjść. Najlepiej biegiem, nie dotykając go.

– Idę – ogłaszam ochryple i ruszam w kierunku drzwi.

Z każdym krokiem robi mi się coraz goręcej. Pojęcia nie mam, czy to wino i wódka, czy może jego obecność sprawia, że czuję coś, o co w życiu bym sobie nie posądziła. A może to sposób, w jaki mi się przygląda? Inny niż jeszcze przed momentem. Mruży lekko oczy i przechyla głowę. Przełyka głośno ślinę, sprawiając, że skupiam wzrok na poruszającym się jabłku Adama.

Pora iść. Już... – myślę, po czym wykonuję wydane sobie polecenie.

– Śpij – nakazuję i zatrzymuję się na moment, udając, że gdzieś tam we mnie czają się resztki pewności siebie. – Pogadamy o tym rano. Nie przeszkadzam ci.

Tym razem chcę go wyminąć, utrzymując bezpieczną odległość, ale potykam się o własne ociężałe stopy i tracę równowagę. Zataczam się, a za podporę przed upadkiem służy mi twarda, opadająca i unosząca się szybko pierś.

Patrzę w górę, a zieleń jego tęczówek nie zionie już litością.

Nie zabieram dłoni.

Michał

Spoglądam powoli w dół i natrafiam na niesamowitą zielenį lśniących od łez oczu.

To najgorsze, co mogę odwalić.

Nie rób tego. Nie rób.

Kurwa.

Posrane mówienie do siebie w myślach.

– Poczekaj – proszę, zanim się odsunie.

Łapię ją za ramię i przyciągam. Zamykam w objęciach. Przyciskam do piersi.

Jak to możliwe, że jest tak drobna, a zdaje się wypełniać sobą całe pomieszczenie?

Nie mam dostatecznych pokładów silnej woli, by odwrócić wzrok od tych oczu. Wzdycha lekko i cicho. Unoszę dłoń, a drugą ręką przytulam Anastazję jeszcze mocniej. Muskam kciukiem przygryzioną lekko dolną wargę. Odgarniam zasłaniające czoło czarne pasma.

– Michał? – pyta, ale ani drgnie. Wręcz przeciwnie, zdaje się przylegać do mnie tak bardzo, jakby chciała połączyć nas w jedno.

Mrugam kilka razy z nadzieją, że to pomoże mi opanować narastające podniecenie. Tylko że gdy widzę rozmarzony wyraz ślicznej buzi, wiem, że nie ma szans.

Ja pierdolę.

– Bardzo chcę cię teraz pocałować – szepczę zaskoczony tym, jak intensywnie odczuwam jej bliskość. Przesuwam opuszkami po zaróżowionym policzku. – Bardzo. – Sunę wzrokiem w dół i zatrzymuję go na otulonych miękkim materiałem piersiach. – Mogę?

Kiwa lekko głową.

Pochylam się i całuję ją najpierw delikatnie, ledwie wyczuwalnie, potem już mocniej. Wbijam język do ust, a dłonie przesuwam niżej. Otulam nimi krągłe pośladki. Zaciskam lekko palce. Mruczę, gdy zarzuca mi ramiona na szyję. Odchylam głowę, czując zatopione we włosach palce.

– Nie wiem, co się dzieje – szepczę usta w usta, zadowolony z tego, jak rozluźniona zdaje się teraz być. – Nie znam cię. Ale bardzo chciałbym się z tobą kochać. Teraz – oznajmiam, brząc przy tym już nawet nie jak desperat, ale jak czub, za którego się nie miałem.

Odchyla głowę.

– Ja z tobą też – wyznaje dużo pewniej ode mnie.

Jednym ruchem podnoszę ją i rozciągam usta w uśmiechu, czując owinięte wokół pasa szczupłe nogi.

Jest lekka, miękka, jakby aksamitna i przyjemna w dotyku.

Podchodzę do łóżka, odkładam Anę na materac. Pochylam się nad nękającym w czerwonej pościeli ciałem. Przysuwa się do mnie i wtula mocno. Otaczam ją ramionami i ściskam tak, aby mogła uciec, jeśli zechce, ale żeby jednocześnie poczuła się trochę bezpieczniej.

Dlaczego to robisz?

Nie wiem. Może to te oczy, łzy, koty albo piersi. A może wszystko naraz.

Unoszę powoli jej rękę i ściagam fioletowy biustonosz, na który usilnie starałem się nie patrzeć od momentu, kiedy weszła do pokoju. Rzucam go gdzieś daleko, nie zważając na to, gdzie wyląduje. Ujmuję gładką twarz w dłonie, aby skupić się na pociemniałych oczach.

Jezu, jaki smutek – myślę, łącząc nasze spojrzenia na dłuższą chwilę. *Taki wszechogarniający. Najgorszy, bo pozbawiony nadziei.*

Pochylam się, by zamknąć rozchylone zalotnie usta kolejnym pocałunkiem. Delektuję się smakiem miękkich warg. Sunę po nich końcówką języka i przygryzam.

– Tutaj – rozkazuje, chwytając moją dłoń i prowadzi ku obnażonym piersiom.

Zaciskam na nich palce. Ściskam lekko sutki, po czym pochylam się i zaczynam całować raz jeden, raz drugi. Twardnieją i ciemnieją.

Podpieram się na łokciach, podciągając, by zrównać nasze twarze. Zsuwam dłonie z piersi i zatrzymuję na talii. Zamieram na moment w oczekiwaniu na pozwolenie.

Anastazja przygryza wargę i szepcze podniecająco:

– Tak.

Czuję przeszywający ciało dreszcz narastającego wciąż pożądania. Wsuwam więc dłoń w koronkowe majtki i dotykam delikatnie tego, co zakrywają. Rozkłada szerzej nogi i przyjmuje moje palce z cichym jękiem zadowolenia.

– Na pewno? – pytam, cały czas zszokowany tym, jak jej pragnę.

Chcę być najbliżej, jak to możliwe. A to oznacza, że muszę być w niej.

– Tak – szepcze i wyciąga dłoń.

Przytulam do niej policzki, całuję aksamitne wnętrza. Nie przestając patrzeć w przyglądające mi się z zaciekawieniem oczy, kieruję się w dół. Łapię w usta miękką pierś, drażnię brodawkę. Wsuwam palce między wargi sromowe, odnajduję i delikatnie masuję wilgotną łechtaczkę.

Wstaję i ściągam bokserki. Sięgam do torby, wyciągam z niej przerwa tywę. Po założeniu jej kieruję spojrzenie na Anastazję. Ona spogląda w dół, a jej oczy zdają się robić coraz ciemniejsze.

Zdejmuję jej majtki.

– Rozłóż nogi, proszę – mówię cicho, jednocześnie sam rozsuwam jej kolana.

Kładę się między nimi i podpieram na łokciach. Nie chcę jej przygnieść swoim ciężarem. Kiedy w nią wchodzę, Anastazja podnosi głowę, by spojrzeć mi w oczy. Choć na zarumienionej z podniecenia twarzy maluje się rozkosz, nie wydaje żadnego dźwięku.

Ani westchnienia.

Zaczynam poruszać się coraz szybciej i czuję przyjemne ciepło. Tak inne od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyłem. Sam nie wiem, czym jest ono spowodowane. Może to przez ten smutek.

To najsmutniejszy seks, jaki w życiu uprawiałem.

W końcu, gdy przyspieszam, po każdym pchnięciu spomiędzy miękkich warg wydobywają się ledwie słyszalne jękięcia. Anastazja obejmuje mnie nogami, wypina piersi i dociska je do mojej klatki.

Po chwili zaczyna szczytować, ale zamiast krzyczeć z rozkoszy, zasłania usta dłonią. Tylko zamknięte oczy i drżące ciało pokazują, że czuje to, co ja, kiedy opada spocona i zdyszana na wilgotną od naszych ciał pościel.

Wstaje, żeby przykryć ją kocem. Widzę, że leży nieruchomo i wpatruje się w nadal ciekące okno.

– Poczekaj chwilę – proszę, po czym wychodzę, żeby się upewnić, że koty nadal żyją i mają się dobrze.

Kiedy widzę, że śpią, przymykam ich prowizoryczny kojec i wracam do Anastazji.

– Przepraszam – dociera do moich uszu już od progu. – Naprawdę. To nie tak... Nie jestem taka.

Nie powinna przepraszać. Przecież to ja porwałem ją z podłogi i rzuciłem na łóżko. To ja zacząłem rozbierać. Już na pierwszy rzut oka widać, że to, co wydarzyło się przed momentem, nie jest jej codziennością. Ale nie mogłem się powstrzymać. Mnie samego zaskakuje to, co poczułem. Jak bardzo tego zapragnąłem. Wystarczył tylko dotyk jej drobnej dłoni.

Zdecydowanie nie ona powinna wypowiadać te słowa.

A jednak się nie odzywam. Biorę ją w ramiona i układam tyłem do siebie. Przylegam ciałem do drobnych pleców i obejmuję w pasie. Drugą rękę wkładam pod jej głowę, żeby ułożyła się wygodniej. Przykrywam nas oboje.

– Dobranoc, Anastazjo – mówię ledwie słyszalnie i czuję spadającą na przedramię ciepłą łzę.

Co ja zrobiłem?